Misja — robert_augustyn

Najpierw trzeba się przemknąć podziemiami. W chłodzie i półmroku, kłapiąc podeszwami po pokrytej wodą posadzce. To niestety generuje hałas, odbijający się od betonowych ścian. Zdradza moją obecność. Maskuję usta i nos, naciągam gumki maski. Jak zwykle na początku mam wrażenie, że utnie mi uszy, ale po chwili elastyczne chrząstki małżowin dopasowują się i przestaję na to zwracać uwagę. Mam zresztą misję do wypełnienia, więc takie drobiazgi nie mogą mi zaprzątać głowy. Na głowę naciągam czapkę tak, że krzaczaste brwi opuszczają się na powieki. Trochę mi wtedy przesłaniają pole widzenia, ale to jeden z elementów emploi, które muszę przybrać na tę wyprawę — uwaga, jestem zły, trzymajcie się ode mnie z daleka!

Lawirując, zmierzam do wejścia, rozglądając się dyskretnie, aby nie dać się zaskoczyć. Ktoś przecież mógłby mnie o coś poprosić, albo mógłby mnie rozjechać samochód; w końcu to parking podziemny. Mam wprawę - bezpiecznie i szybko docieram do koszyków. Wysupłuję z kieszeni dyżurną złotówkę i z bojowym koszykiem przed sobą ruszam na schody, a właściwie na taśmociąg[1]. Ustawiam się przy prawej krawędzi, jak najdalej od ludzi zjeżdżających w dół i robiąc miejsce tym, którzy bez koszyków będą szli w górę. Niech nie stoją mi niepokojąco za plecami.

Mijam dwie śluzy i bramkę, która szczęśliwie nie wykrywa mego nastawienia na najbliższe minuty, kwadranse, może pacierze, mam nadzieję, że nie godziny. Niby taka zaawansowana technologia, a zawsze uda mi się ją oszukać. Wkraczam na teren działań. Ustawiam się z boku, prostuję się na całą swoją wysokość, teraz żebrami sięgam rączki koszyka. Wyciągam głowę, aż czuję, jak zwiększają mi się przestrzenie między kręgami kręgosłupa. Ups, ostrożnie, bo znowu dysk mi wypadnie. I robię rozpoznanie.

Wyciągam z kieszeni kołonotatnik z alfabetycznie posortowanymi kuponami rabatowymi. Przerzucam kolejne przezroczyste koszulki, aż docieram do właściwej: mandarynki 1,75zł za kg. Są - widzę dwie skrzynki, nad którymi wisi żółta karteczka z promocyjną ceną. Ruszam dziarsko, ale dwóch panów 90+ było ode mnie szybszych. Staję za ich plecami, a właściwie za lędźwiami i zaglądam z boku. Wybierają. Dobrze, poczekam, cierpliwość jest, czy raczej bywa jedną z wielu moich zalet. Czekam. Czekam. Zaglądam.

Panowie robią regularny przegląd owoców, czyli macają każdy (każdy!) pojedynczy owoc. Gołymi dłońmi. Rozumiem ich - niech pierwszy rzuci mandarynką, komu udało się w mniej niż pół minuty rozewrzeć te foliowe rękawiczki tak, aby wsunąć w nie ręce. Zaczęli od góry, są w połowie roboty. Zaczynam kaszleć, to ostatnimi czasy potrafi odstraszyć niektórych osobników. Kaszlę i kaszlę, charczę już właściwie, gardło sobie zdarłem, muszę przestać, bo głos stracę. A oni nic, albo tacy twardzi, albo głusi. Albo jedno i drugie. Nic to, nie chcę już takich wymacanych przez głuchych starców mandarynek. Tęsknię za czasami, kiedy „towar dotknięty uważało się za zakupiony". Myślałem, że to już nie wróci, ale ostatnie wydarzenia w naszym kraju na nowo rozpaliły promyk nadziei.

Rezygnuję i ruszam na prawo, bo tylko tam jest miejsce, korytarz pośród innych wiekowych zombie przesuwających się boczkiem przed skrzynkami. Widzę na górnej półce mandarynki w paczce. Dyskretnie upewniam się, czy nikt mnie nie obserwuje i podskakuję sprawnie, ściągając paczkę owoców. No. Zerkam na cenę - 7,50zł za kg. Oszustwo jakieś. Wpadam na pomysł, żeby przesypać je do woreczka i zważyć jako te w cenie 1,75zł. Jednak nie, musiałbym walczyć z woreczkiem jednorazowym. Cierpliwość to moja zaleta, ale zalety też należy oszczędzać, aby nie kończyły się zbyt wcześnie. 5,75zł to cena, którą mogę zapłacić za spokój. Mam kupony na wszystko inne, odbiję sobie na tych zdziercach,

złodziejach, oszustach i tak.

W głowie mam mapę dyskontu, jak Sherlock Holmes plan Londynu. Układam w myślach optymalną trasę reszty zakupów. To trudniejszy etap, bo po wyjściu z relatywnie przestrzennej hali owocowo-warzywnej przejdę teraz w wąskie przesmyki pomiędzy półkami. Wiem, co mnie czeka: inny gatunek zombie. Młode takie, włóczące się, odbijające od przeszkód, jak sprzątająca pierwszy raz *roomba*, jak ślepcy w nieznanym otoczeniu, choć wzrok na pewno mają dobry, tylko wąsko specjalizowany - smartphonowy. Do boju! Przemykam wzdłuż pikli i innych przetworów w stronę alei herbat i kaw. Teraz długa prosta, ale widzę jakąś rodzinkę z gatunku „mózg kiedyś miałem, ale mi odparował, bo w głowie tyle otworów przecież". Poznaję to po tym, że zachowują się, jakby byli w sklepie sami, mają w dupie wszystkich innych klientów. Ta konkretna czwórka wlecze się, jak na spacerze, tyralierą, blokując całe przejście. Czworo ludzi, dwa prawie puste koszyki.

Raz, dwa, trzy, cztery - liczę cicho i na pięć ruszam z kopyta, dynamicznie znaczy się, wprost na nich. Pochylam się, przede mną koszyk, głowa ledwie mi nad rączkę wystaje, patrzę spod byka, usta zacisnąłem, nozdrza rozszerzyłem - w końcu po „Żubra" jadę. Zanim przód drucianego koszyka trafił jedno z dzieci, wszyscy błyskawicznie się rozstąpili, jak morze przed Abrahamem, jak tłum w Ottery St Mary przed biegaczami z palącymi się beczkami. To zawsze działa, bez względu na zagęszczenie motłochu.

Kilka metrów dalej skręt i już jestem przy piwach. Promocja, 1,25zł za puszkę, przy zakupie ośmiopaka. Pakuję do wózka sześć - będzie zapas na dwa dni. Lepiej wezmę siedem, będzie bezpieczniej. Może starczy i na ranek dnia trzeciego? Poza tym siedem to przecież szczęśliwa liczba, a komu nie potrzeba szczęścia? Najważniejsze za mną, teraz jeszcze wykałaczki, ale to niedaleko kas. Znam skrót, nie muszę jechać dookoła, tak, jak sobie jakiś podły cwaniak od sprzedaży wykombinował, żeby kusić do kupienia rzeczy, których nie chcesz kupować. Na mnie co prawda reklama i inne chwyty marketingowe nie działają, ale po co mam drogi nadkładać?

Kilka szybkich manewrów i jestem w dziale drogeryjnym. Na drugim końcu alejki widzę mój cel. Aj, niepotrzebnie się zatrzymałem, mogłem jechać jeszcze ten kawałek na bezdechu, a teraz wleźli jacyś przede mnie. Młódka dorodna z facetem. Dryblasem właściwe, co to na najwyższą półkę patrzy, kierując wzrok w dół. Tarasują oczywiście przejście. Krok za krokiem przesuwam się za nimi. Cholernie powoli. Cierpliwość, którą zużyłem przy mandarynkach, jest już na rezerwie. Gość się zatrzymał. Zadzieram głowę - wybiera krem do depilacji - metroseksualista jakiś. Taki wielki jest, że będzie musiał ze trzy kupić.

Wziął jeden - może se tylko tyłek wydepiluje, a klatę zostawi, a może ma owłosienie, jak gołowąs? Phi, nie to, co ja. Mnie to nawet na uszach rosną! Kobiety uwielbiają się nimi bawić w alkowie. Zakręcać na palec, pociągać delikatnie lub szarpać mocno, żeby moją głowę między piersi skierować, albo i na podołek.

Dwa kroki dalej znów stoimy. Co on ogląda? Krem pod oczy? Czy to w ogóle jest dział męski? Dość mam, trzeba działać. On przy półce, ona na środku wgapiona w telefon, koszyk skośnie po prawej. Nie przecisnę się. Wyprowadzam piękne *mae-geri* w przód koszyka, który odjeżdża i nie dotykając niczego, pięknym łukiem skręca za róg. Droga wolna.

Jednak nie. Dryblas się obudził, zrobił krok, a właściwie pół kroku i zatarasował mi swoim kroczem drogę. Patrzę w górę - nie, nie doskoczę, żeby solidnie mu w tę wypielęgnowaną gębę przyładować. Zrywam z głowy czapkę i wrzucam do koszyka. To taki trick, którego nauczyłem się od przyjaciela. W ostatni we-

ekend na imprezie z degustacją samogonu zwanego bum-bum (bo wali w łeb niespodziewanie i z podwójną siłą) ostatnim, co pamiętam, to mój wykład o tym, jak się golić brzytwą - staroświecki jestem, to brzytwy używam, nie tylko do golenia zresztą. Chyba ktoś później przeprowadził zajęcia praktyczne, bo obudziłem się z praktycznie łysą czaszką. Na zakrwawionej poduszce, więc albo marnie uczyłem, albo uczeń marny. Obstawiam to drugie.

Jakkolwiek by było, zerwanie czapki odsłoniło mój łysy, pokiereszowany łeb, który zadarłem w górę, żeby Golemowi w rozporek nie patrzeć. W sumie idealne miejsce, żeby mu z bańki tam sieknąć. Szybka analiza. Jak porządnie, z barków uderzenie wyprowadzę, to nie ma szans, żeby ustał. A jak się zegnie, to już go dokończę, jak zechcę, nawet łokciem. Nie takie rzeczy się robiło.

Patrzę mu w oczy - tak z grubsza, bo daleko, więc nie jestem pewien. Zarys głowy widzę wyraźnie. Mijają trzy, może cztery sekundy, a on nic. Mówię więc:

- Co? Ty też chcesz?

Gość nie ustępuje, chyba chce dziewczynie zaimponować. Ona zerka na niego, na mnie, na niego.

- Chodź Światek, nie mamy czasu. - mówi i ciągnie go za rękaw.

Nie mają czasu? A na co go marnowali? Na wybieranie pieprzonego kremu do depilacji.

Facet uśmiecha się i odchodzą. No - burczę pod nosem, przypieczętowując tą sylabą kolejne swoje zwycięstwo.

Spokojnie robię kilka kroków. Biorę paczkę wykałaczek i spostrzegam, że jakoś pusto wokół. No i dobrze. Ruszam do kas, mijając ludzi przyklejonych plecami do półek. To się nazywa wypracować sobie respekt w dwadzieścia sekund!

Do kas jak zwykle kolejki, więc skręcam do kas automatycznych, tam jest zawsze mniejszy tłok, bo większość tych tłoków nie potrafi ich obsługiwać. Nie to, co ja, technicznie wszechstronnie utalentowany. Skanuję kartę, kupony, wykałaczki, mandarynki i pierwszego ośmiopaka. Obracam się, żeby pójść po obsługę, aby zatwierdziła zakup dla dorosłych, ale widzę, że facet przy stanowisku już macha do mnie ręką w geście - załatwione. I to jest porządna obsługa. Wytrenowałem go już przy pierwszej kłótni, kiedy ze względu na wzrost i idealnie gładkie lico (co brzytwa, to brzytwa!) wziął mnie za małolata. Po paru ostrych słowach, kiedy rozerwałem koszulę, ukazując busz czarnych włosów porastających klatę, a następnie zacząłem rozpinać spodnie, odpuścił. Tyle wystarczyło; teraz mam spokój i pierwszorzędną obsługę.

I jakimś cudem wolną drogę w dół. Niestety na dole już czatuje na mnie jeden z wózkowych - tych, co to „na chleb” potrzebują. Stoi taki zmęczony bardzo, wzrok ma mętny dość.

- Czy będzie można… - zaczyna, ale mu przerywam:

- W koszyku jest tylko złotówka. - chamsko mu się w zdanie wcinam, bo dzisiejszy zapas cierpliwości już wyczerpałem.

Patrzy na zawartość mojego koszyka, przełyka ślinę i macha ręką:

- Aaa tam. - obraca głowę w stronę wyjścia, wypatrując następnego klienta.

I bardzo dobrze. Ostatnio, jak jeszcze miałem koszykową dwójkę, to musiałem jednego „pomocnika" jeszcze pocieszać, bo mi zaczął o samobójstwie gadać. Nie mógł się na sposób zdecydować. To mu pomogłem.

Dziś mam spokój. Parking, samochód, bagażnik, koszyk na najbliższe miejsce i *mission complete*.

Kopiowanie tekstów, obrazów i wszelakiej twórczości użytkowników portalu bez ich zgody jest stanowczo zabronione. (Ustawa o prawie autorskim i prawach pokrewnych, Dz.U. 1994 nr 24 poz. 83 z dnia 4 lutego 1994r.).

robert_augustyn, dodano 17.08.2021 18:40

Dokument został wygenerowany przez www.portal-pisarski.pl.